

Chora grupa zawodowa

Wszyscy wiemy, jak źle jest w publicznym sektorze ochrony zdrowia i że wiele spraw będzie wymagało długofalowych działań, nie stanie się to tu i teraz, nawet jeśli rozwiąże się worek z dodatkowymi pieniędzmi z budżetu. Co nie zmienia faktu, że trzeba działać natychmiast, jest o wiele później, niż nam się wydaje. Jednak nie chciałbym kolejny raz pisać o rzeczach oczywistych, w dodatku do osób przekonanych. Chciałbym pochylić się nad innym zagadnieniem. Mamy w kraju, plus minus, sto siedemdziesiąt osiem tysięcy lekarzy i lekarzy dentystów wykonujących zawód. Razem z rodzinami, bliższymi dalszymi, sądzę, że jest nas minimum milion osób. Nieustannie zaskakuje mnie, jak to możliwe, że przy takiej liczebności nie potrafimy, nawet raz na cztery lata, zmobilizować się i tupnąć głośno nogą? Świadczy o tym liczba podpisów pod manifestem akcji „Polska to chory kraj”, jak i częste fiaska pod wieloma akcjami związanymi ze zbieraniem podpisów. Żeby nie szukać daleko w pamięci, ot chociażby akcja „Szczepimy, bo myślimy”. Co jest z nami nie tak? Czy faktycznie potrafimy tylko narzekać? Czy nawet jeśli mamy możliwość reakcji, to nawet tego się dobrowolnie zrzekamy? Po tylu latach różnych batalii o ochronę zdrowia powinniśmy dokładnie wiedzieć, że przeciętny obywatel za nami nie stanie, nie będzie nas bronił. To jest chyba podstawowy błąd w założeniu, który ciągle popełniamy. Chcemy poparcia i zrozumienia wśród pacjentów, jednocześnie domagając się zmian „na już”. Jedno wyklucza drugie. Przy tak dużych wieloletnich zaniedbaniach, nagonce na nasz zawód, żaden obywatel, nawet przy świetnie zaplanowanej kampanii uświadamiającej, nagle nie zmieni swoich przekonań i nie opowie się po stronie lekarzy. To jest słuszną drogą jednak w wymiarze wielu nadchodzących lat. Zaczniemy dzisiaj, owoce zbierzemy za kilka lat. Póki co, musimy liczyć na siebie. Czemu wspomnianego wcześniej manifestu nie podpisało sto siedemdziesiąt osiem tysięcy osób? Tak długo, jak będziemy musieli walczyć nie tylko z brakiem wsparcia od innych obywateli, ale przede wszystkim z brakiem solidarności w obrębie własnego środowiska, nie osiągniemy upragnionych celów. A solidarność stała się ostatnio słowem obcym, dla wielu z nas. Widać to w każdym szpitalu w powiecie, w klinikach, dużych i małych ośrodkach, a nawet w samorządzie na różnych szczeblach. I nie chodzi o to, że każdy ma myśleć tak samo i zgadzać się we wszystkim. Są jednak sprawy ważne i ważniejsze. Chociaż w tych drugich powinniśmy być jednomyślni. Kolejnym przykładem kulawej współpracy środowiska jest akcja wypowiedzania *opt-out*. Najprostsza rzecz, którą może zrobić każdy z nas. Jednak nadal trudno nam przebić się do Koleżanek i Kolegów z informacją, że nie muszą na siłę ratować przegranego systemu i pracować ponad normę. Jako przewodniczący Oddziału Terenowego OZZL we własnym szpitalu, często słyszałem – „jeśli wszyscy wypowiedzą *opt-out*, to ja też”. Efekt mamy taki, że nie wypowiedział chyba nikt. Nie bardzo wiem już, jak dotrzeć do Koleżanek i Kolegów, bo brakuje mi pomysłów, co po części stało się także

przyczynkiem do głośnych rozważań podnoszonych przeze mnie w tym felietonie. Mam gorzkie przemyślenie, że do większości lekarzy nie da się dotrzeć „górnolotnymi” hasłami, mową o wspólnocie itd. Teraz każdy patrzy na to, co mu się opłaca i ile może zyskać. Trochę to smutny obraz jak na rzekomą elitę intelektualną kraju.

Nie będę ukrywał, że poziom defetyzmu w tym tekście został zawyżony celowo. Liczę, że przeczytają to głównie młodzi adepci sztuki lekarskiej, ci, którzy niedawno odebrali Prawo Wykonywania Zawodu i nie zdążyli przesiąknąć wieloma złymi nawykami z codziennej pracy w zawodzie lekarza czy lekarza dentysty. W nich upatruję nadzieję na zmiany, powiewu świeżości, powrotu do jedności. W przeciwnym razie Polska będzie chorym krajem tak długo, jak my będziemy chorą grupą zawodową.

Mateusz Kowalczyk